



UCIECZKA Z AUSCHWITZ

Alfréd Wetzler

MARGINESY



Čo Dante nevidel

Książka została opublikowana dzięki wsparciu SLOLIA – Centrum Informacji o Literaturze w Bratysławie



Powieść powstała w 1963 roku pod pseudonimem Jozef Lánik, którego Alfréd Wetzler używał w słowackim ruchu oporu. Pierwsze wydanie ukazało się po słowacku (*Čo Dante nevidel*) w wydawnictwie Osveta z Bratysławy.

COPYRIGHT © Peter Varnai-Wetzler 2020

All rights reserved. Except for quotation of short passages for the purposes of criticism and review, no part of this book may be reproduced in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopy, recording, or any information storage or retrieval system not known or to be invented, without the written permission of the publisher.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Katarzyna Dudzic-Grabińska, Tomasz Grabiński

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

1

Tylko do pracy

Wielkanoc, kwiecień, rok 1942.

Rok 1942 według kalendarza gregoriańskiego, 5702 według żydowskiego, kilkumiliardowy według badań kosmosu i Ziemi.

Słońce uśmiecha się wysoko na błękitnym niebie, ziemia wydycha brzdami wyrazisty, odurzający zapach. Pachnie ziemia i pachnie trawa. Co jakiś czas zrywa się wietrzyk, szumi kojąco. Jest nasycony gęstą, parną wonią gleby, trawy, żywicy i drzew obasypanych kwiatami.

Dziś słońce na błękitnym niebie uśmiecha się zapewne wszędzie, tylko nie tutaj. Tu jest zachmurzone. Chmura wdarła się do oczu i dusz setek Żydów. Stoją w szeregu, słuchają przemowy, jaka im się nawet nie śniła; słowami zostają ograbieni z ojczystego nieba, pól, łąk, zapachu ziemi, z podwórek, żon, sióstr, dzieci, matek, babek i dziadków.

– ...wyjeżdżacie do pracy – kontynuuje zastępca komendanta obozu w Seredi, zgarbiony, niemrawy mężczyzna. Pod jego załzawionymi oczami wiją się fioletowe żyłki. – Wszystko jest tam dla was przygotowane. Nie ma powodu do paniki, przecież traktujemy

was jak należy, jak ludzi. Tam będzie tak samo. Bez obaw! Każdy będzie robić swoje: szewc szyc buty, lekarz leczyć. Czyli każdy zostanie przy swoim fachu. Za pracę gwarantujemy wam wikt, opierunek i pensję, żebyście mogli sobie kupić, co wam będzie potrzeba. I będziecie wszyscy razem. Odpracujecie swoje i za pół roku, góra rok, wróćcie. – Słowa brzmią nieprzekonująco, można w nich wyczuć źle skrywaną kpinę. – Mam nadzieję, że to dla was jasne. Jesteście zdrowi, prawda? To nie bójcie się pracy! Ktoś z nas przyjedzie sprawdzić, jak wam się powodzi...

Przy głównej bramie zatrzymała się škoda (nad prawym reflektorem ma podwójny biały krzyż na błękitnym polu) i wytrwale trąbi.

Zgarbiony mężczyzna rzuca okiem na bramę, naprędce dodaje, że ani on, ani nikt inny nie ma nic przeciwko Żydom, po czym zwraca się do gwardzistów*. Jest ich osiemnastu, w czarnych mundurach i wypolerowanych butach. Młodzi, o niewojskowych sylwetkach, są wręcz śmieszni, kiedy próbują stanąć nieruchomo na baczność. Nie słyszą, co do nich mówi.

Po krótkiej chwili ruszają w stronę szeregu.

– W lewo zwrot! Naprzód marsz! – krzyczą.

Teren rozbrzmiewa wrzaskiem i przekleństwami. Gwardziści skaczą, biegają, gwałtownie gestykują. W ich rykach, rozkazach i czynach jest niechlujna radość, dowodzą i rządzą, krzykiem wpra-

* Chodzi o członków Gwardii Hlinki (Hlinkova garda), oddziałów paramilitarnych Słowackiej Partii Ludowej księdza Josefa Tiso, rządzącej w istniejącym od marca 1939 roku Państwie Słowackim. W 1942 roku członkowie jej oddziałów szturmowych brali wraz z SS udział w akcjach deportacyjnych ludności żydowskiej do obozów koncentracyjnych. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy i redakcji).

wili w ruch setki ludzi, poczucie władzy ich upaja i podnieca jak alkohol.

Żydzi drgnęli, schylili się, szybko łapią bagaże, zmęczony tłum się poruszył. W rękach, na ramionach i plecach przeróżne toboły, walizy i walizki we wszelkich kolorach, skórzane i kartonowe; plecaki, tłumoki, aktówki i worki przewiązane rzemieniami i sznurkami.

– Żwawo! Śmiało! – krzyknęli gwardziści i szereg idzie, faluje po bezdrożach, polach, łąkach.

– Karol, ciężko ci, prawda? – nauczyciel Wagner pyta w maszerującym tłumie swojego byłego ucznia.

Wagner to starszy człowiek, pięćdziesięciolatek, stara się iść prosto i zdecydowanie, nawet w tych okolicznościach chce zachować godność i przynajmniej pozory spokoju.

– Karol...

– Ciężko – odpowiada Karol, niewysoki, ruchliwy, bystry młody mężczyzna z delikatnym, bladym puszkciem na ufnej twarzy. – Ciężko, ale wytrzymam.

Stara się wypaść przekonująco. Skoro nie ma bagażu, pomaga nauczycielowi nieść jego masywną wiklinową walizę. Idą niemal na końcu. Boją się przerzucić ciężar do drugiej ręki, boją się na chwilę zatrzymać, z przodu jest to możliwe, ale tu, na tyłach, nie, tu nie mogą. Gwardziści wymachują pałkami, biegną, krzyczą.

– Dalej! Dalej! Żwawo! Weselej!

– Chodźmy! Idziemy! Jeszcze się tam nasiedzicie!

Czyżby osadę zalała woda, strawił ogień, że ludzie uciekają z niej ze wszystkim, co naprędce spakowali, jak przed pogromem? Nie, to nie jest taki tłum, za nim słychać krzyki, wokół niego krzyki.

– Tylko żwawo! Tam wam będzie lepiej niż tutaj!

Przeszli około trzech kilometrów, po czym zatrzymali się obok torów, daleko od stacji. Zrzucili na ziemię tobołki, usiedli na nich, zdjęli swetry, pulowery, starsi nawet zimowe palta. Rozciągnięty tłum zrzędzi, ale gdzieniegdzie odzywają się też słowa zachęty. Karol spoczął z Wagnerem na wiklinowej walizce. Nauczyciel siedzi prosto i nieruchomo, wyciągnięty jak struna, jego oddech jest ciężki, odrobinę świszczący, wysokie czoło błyszczący mu od potu. Karol rozciera odciski na dłoniach.

Z przodu, na prawo od tłumy, stoi długi pociąg towarowy, wagony po obu stronach są otwarte. Po lewej, obok stacji, widać kilku kolejarzy, trzech czy czterech żandarmów, opierają się o barierkę, palą, sączą piwo, smutno patrzą na zgromadzonych. Nagle z poczekalni wybiegają z krzykiem gwardziści, otaczają tłum, wrzeszczą, klną. Dwóch cywili z podwójnym krzyżem na rękawie ryczy już z oddali:

– Podnieść się! Wstawać!

Tłum staje w szeregach.

– Po czterdziestu, jasne? Będziemy was wywoływać. Kogo będzie w czterdziestce brakować albo kto będzie nadplanowy, ten dostanie po łbie!

Wywołują, oddzielają pierwszą czterdziestkę i prowadzą do pierwszego wagonu. Czterdziestu wchodzi do wagonu po szerokiej desce. Czterdziestu i znów czterdziestu, do sześciu wagonów po trzydziestu dziewięciu.

– Chodź, Lacko, nic nie wykombinujesz – mówi Karol do przyjaciela i znów chwyta wiklinową walizkę.

Laco, dwudziestoletni jednak, kilka miesięcy młodszy od Karola, jest trochę zakłopotany i przestraszony, ogląda się za siebie, wreszcie podnosi walizkę i worek, rusza za nauczycielem i Karo-

lem do ostatniego wagonu. Na jego prawym rogu widać wielką, świeżo wymalowaną liczbę – XVI. Na lewym rogu pozaklejane stare oznaczenia, symbole.

– Hej, gdzie się szwendasz! – ryknął gwardzista na Karola. Chce do niego podbiec, ale od razu przystaje, ledwo utrzymuje równowagę. Śmierdzi pijaństwem.

– Tak tylko, patrzę, dokąd nas zawieziecie za darmo.

– Zamknij gębę, smarkaczu!

Nawet przy ostatnim wagonie wywołują numery porządkowe, imiona, nazwiska, trzeci raz w tej samej kolejności, i wpychają ludzi do wagonu. Trzech gwardzistów zaznacza nazwiska na liście. Ktoś wbiegł po desce wcześniej, krzyczy z wagonu: „Tu!”.

– Bydlaki, wyłazić, jeszcze raz.

– Sześćset jeden...

– Tu!

– Sześćset dwa...

– Tu!

– Sześćset trzy...

– Tak.

– Żadne tak, ośle! Masz krzyknąć: Tu!

– Sześćset trzy...

– Tu!

– Zasraniec!

– Słucham?

– Sześćset trzydzieści cztery!

– To ja, doktor Wojtech Zimmer...

Gwardzista popatrzył na niego krzywo, słowa cisną mu się na usta, niech cię diabli, ale ugryzł się w język. Ołówkiem wskazuje drzwi. Lekarz Zimmer wchodzi na deskę jako ostatni. W oczy

rzuca się biała opaska z czerwonym krzyżem na rękawie; żandarm pomaga mu wsiąść do wagonu, następnie podaje wiadro wody. Zimmer bierze je ostrożnie, żeby nie wylać ani kropli.

Podłoga w wagonie była świeżo wyszorowana, unosił się w nim zapach gnoju, siana, koni, amoniaku i oparów łągu.

– Bydło załadowane, tylko siana brakuje! – skomentował ktoś przy drzwiach.

Gwardziści zamykają z łomotem drzwi po prawej stronie wagonów, zakładają na nie kłódki i chwilę nimi szarpią. Przez przednie drzwi przekładają żelazny pręt. W środku wszyscy kłębią się przy otworze z przodu.

– Hej, szukają jakiegoś Laca. Ma ojca na dole!

Laco nie może przedrzeć się do przodu, podnosi rękę nad głowę. Ojciec rzuca do wagonu zwinięty i związany koc. Lacko, bądźcie razem z Karolem i uważajcie, podzielcie się, trzymajcie się razem, mama nie chciała przychodzić, bała się...

– Nie gadaj tyle! Odsunąć się od wagonu!

Karol i Laco stają na palcach, opierają się o ramiona ludzi przed nimi, ale nic nie widzą. Po chwili naburmuszeni i smutni idą do kąta, który zajęli wspólnie z nauczycielem. Laco rozwija koc, znajduje w nim dwa opakowania trójkątnych serów, dwie konserwy i pierniczki.

– Może coś przegryziesz, Karol? Mam też mięso, pesachowe.

– Nie martw się, nic się nie zmarnuje.

Laco wepchnął wszystko do worka, złożył koc, położył go na podłodze, proszę usiąść, nauczyciel usiadł. Laco złapał Karola za rękę i pociągnął do otworu z przodu. Udało im się przepchnąć na miejsce, skąd widać przynajmniej wąski wycinek życia na zewnątrz, na słońcu. Przy budynku stacji i wzdłuż magazynów stoją

ludzie. Ci w wagonie, oparci z przodu o żelazny drąg, stękają pod naciskiem tych z tyłu i krzyczą:

– Do widzenia! Do widzenia, kochani!

Do widzenia... Do widzenia rodzice, rodzeństwo, narzeczone i narzeczeni, znajomi i nieznajomi. Wszyscy, którzy tam stoją i czekają na chwilę pożegnania. Do widzenia, rzucone na pocieszenie dla tych na zewnątrz i dla siebie.

– Chodź, ja... mam już tego dosyć – szepcze Laco. I głośniejszym głosem dodaje: – Ci ludzie robią z tego taki cyrk, jakbyśmy płynęli za ocean.

Wracają do kąta, siadają obok nauczyciela na kocu. Siedzą w milczeniu, bez słowa. Karol podciąga kolana pod brodę, opiera się o nie łokciami i zakrywa twarz dłońmi. Dlaczego tu jest? Dlaczego nie w domu przy ulicy, gdzie dorastał przez dwadzieścia lat? Irenko, Irenko kochana, powiedz dlaczego, dlaczego? Ach, dlaczego wszystko jest takie poplątane?

Zerwał się, wszyscy się zerwali, na zewnątrz zabrzmiał ostry gwizdek.

Zgromadzony z boku stacji i magazynów tłum ruszył w kierunku wagonów.

– Zatrzymajcie ich! Partacze, zatrzymajcie ich! – krzyczy ktoś gniewnie na zewnątrz.

Gwardziści naprędce tworzą kordon, wał wycelowanych karabinów, zatrzymują ludzi i krzyczą, ale napór jest zbyt gwałtowny, wiele kobiet i mężczyzn dobiega aż do pociągu.

– Hołota, oddalić się od wagonów!

Do środka wpadają paczka za paczką, medalionik, chustki, portmonetki, fotografie.

– Do widzenia! Bądźcie szczęśliwi! Piszcie i... do widzenia!

Do wagonu XVI kopniakami i kolbami karabinów torują sobie drogę trzech gwardziści. Skądś z boku przyplątał się żandarm, krzyczy na ludzi, czy wy macie rozum, przecież... I dyskretnie wrzuca do wagonu kilka paczek papierosów. Jeden gwardzista wymachuje nałożonym bagnetem, drugi krzyczy, a trzeci staje w drzwiach, żeby je zamknąć.

– Zapytajcie, dokąd właściwie jedziemy! – krzyknął z kąta nauczyciel Wagner. – Teraz już mogą nam powiedzieć.

Drzwi wagonu XVI zamknęły się z łoskotem. Brzęk wieszanej kłódki, szczęknięcie, szarpnięcie. Odgłos jazgoczącego metalu dudni w uszach.

– Dokąd jedziemy... – rozległ się piskliwy głos.

– Jedzcie do pracy i bądźcie cicho! Niech was cholera, jeszcze się zesracie ze strachu!

Karol z Lacem i nauczycielem kucają w kącie. Nauczyciel chciałby powiedzieć coś uspokajającego, mądrego, ale nie potrafi; wszystko, co zobaczył i usłyszał, kiedy pędzili ich na stację, i wszystko, co widzi i słyszy teraz w wagonie, przeczy rozumowi, logice i zwyczajom. Laco w milczeniu patrzy na Karola, jego wielkie ciekawskie oczy są smutne i pełne niepewności. Karol je zasłania, głowa mu pulsuje, trochę gwałtowniej oddycha, palce przyciska do skroni.

„Rźnij i rąb do krwi, nie będziemy pierwsi”*. Już wtedy jakoś dziwnie się zaczęło, na ulice wylegli mundurowi, Żydzi musieli uciec na podwórza, przyszły nakazy, polecenia, zakazy, kodeks, oznaczenia, kary, spisy... Ale przecież w ten sposób się nie za-

* Słow. *Rež a rúbaj do krve, nebude to po prvé*. Fragment pieśni, przy której defilowali członkowie Gwardii Hlinki.

częło, przecież żył też wcześniej, tak, był piękny poranek, szedł z książkami, stare podręczniki wzorowo obłożył nowym błękitnym papierem, całą drogę głęboko oddychał, wypinał pierś, przeżył się, chciał być o głowę wyższy... Tego ranka szedł na pierwszą lekcję do pierwszej klasy gimnazjum, nawet dyrektor szkoły do nich przemówił (uroczyście i poważnie, jak do dorosłych), to istotny krok w waszym życiu, kto będzie wytrwale się uczyć, po ośmiu latach może iść do szkoły wyższej (i wszystkich stu dziesięciu uczniów zrozumiało to dosłownie), możecie iść na uniwersytet, możecie stać się profesorami, lekarzami... W piątej klasie byli aż w Brnie, na zawodach lekkoatletycznych... Jeszcze przez rok chodzili tą samą drogą do wielkiego, poważnego budynku... Ojciec powiedział: „Ja już nie mam sił, musisz iść do pracy”; więc poszedł do pracy, zaczął w składzie drewna, ach, jaka to była ostra zima, deski zamieniły się w lód, ale wytrzymał, z pierwszym zarobkiem pobiegł prosto do domu, z uśmiechem rzucił na stół kopertę z pieniędzmi, chełpił się przed braćmi, machał im kopertą przed nosem. A to nie było wszystko, coś tam z jego pierwszych pieniędzy wzięli rodzice. Mama, zasmucona sumą, wydzieliła mu dziesięć koron; teraz, jak chcecie, śmiał się z braci, mogę wam je dać choćby na kino; i oni się zaśmiali... Śmiali się też wtedy, gdy mu dokuczali, czy będzie się żenił, bo widzieli go w parku. Irenka i Karolek, potem zakochani, wymyślali sobie różne pieszczotliwe przezwiska, ale ostatecznie wrócili do imion; chodzili razem godzinami, trzymali się za ręce, dużo nie rozmawiali, próbowali zbliżyć się policzkami, potem przyszedł pierwszy pocałunek, ale nic sobie nie obiecywali, tylko tyle, nie możesz chodzić z inną, ty z innym też nie... A potem spotykali się potajemnie; pisała do niego listy, niedawno napisała ostatni i dała mu ostatni pocałunek, wszystko tak szybko się skoń-

czyło, ale chyba nie naprawdę, jedynie tu, w tym wagonie. Wagon, wagon, co to za wynalazek!

Jest wojna i jest wiosna, i na całym świecie są też dobrzy ludzie. Jadą do pracy. Wszystko jest tam dla nich przygotowane. Wikt, opierunek, wszystko. Będzie z braćmi, może nie od razu, ale na pewno ich znajdzie, razem będzie im łatwiej żyć. Spotka się też z innymi. Przecież już pracował, wręcz harował, żadnej pracy się nie boi. Jest młody, zdrowy, zarobi, jakoś się utrzyma. Ilu ludzi wyjechało w świat za pracą, żyją, niektórzy wysyłają nawet sporo pieniędzy do domu. Wojna przecież nie będzie trwać wiecznie. Może gwardziści kłamali. Może spędzą tam więcej niż pół roku albo rok, ale po wojnie na pewno wróci, i to z braćmi. Tak przyrzekł matce na wszystko, co święte. A jeśli tam będzie bardzo źle, ucieknie. Ucieknie... Tylko dokąd? Do kogo? No, do domu oczywiście, do rodzinnego miasta. Gdzie indziej miałby uciekać? Jak mu będzie bardzo źle, ucieknie do domu.

Dokąd właściwie jedziemy? Dokąd chcą nas zawieźć? Dlaczego nam tego nie powiedzieli? I gdzie będziemy pracować? W fabryce? Przy budowie dróg? W kopalni? Albo z murarzami? Może w składzie drewna. Jak tam będzie? I jak się tam pomieścimy? Tylu nas jest. Dlaczego jedziemy w wagonach towarowych? I dlaczego wagony pozamykano, skoro nas wiozą do pracy? Z pewnością potrzebują tam bardzo dużo ludzi i boją się, że po drodze im pociąka. Jakoś to będzie.

– Gotowe!

Głos zabrzmiał z jakąś ulgą, jakby człowiek, który powiedział to słowo, ucieszył się, że wreszcie pozbył się nieprzyjemnego zadania.

Długi i przenikliwy dźwięk kolejowego gwizdka. Z przodu wzdycha lokomotywa, wagon szarpie w przód i w tył, pociąg rusza. Ludzie w środku na chwilę cichną i zastygają.

– Wypuście mnie!

– Poczekaj chwilę, tylko otworzę drzwi.

Ludzie się zaroiли, zaczęli popychać, nastał chaos głosów, ścisk w pobliżu okienka i długiej, wąskiej szpary między ścianą wagonu a drzwiami, za którymi znikali znajomi i nieznanymi ludzie, znajome i nieznanymi rzeczy, miasteczko Sereď.

– Spójrzcie, spójrzcie na te dzieci, biedactwa, biegną za pociągiem! Machają i coś krzyczą. A jak biegną!

Ponieważ wszyscy chcieli to zobaczyć, nie widział nikt. Po chwili pociąg wjechał w zakręt, potem w następny, a kiedy wyrównał się na prostym odcinku toru, niewielkie wybrzuszenie zaoranego pola zakryło stację i miasto.

Ludzie oderwali się od drzwi i umościli na swoich miejscach. Przez zakratowane okienka skąpo przenika światło kwietniowego słońca. Koła w regularnym rytmie dudnią na złączach.

Karol siedzi zadumany w kącie. Myśli kłębią się dziko w jego głowie, jedna splata się z drugą, nieukształtowane znikają, robią miejsce dla nowych, tak samo wątych, niepewnych, niewesołych. Każde uderzenie o złącza torów jest ciosem w mózg, przerywa chaotyczne obrazy i przywołuje inne. Chwilami jest na swojej ulicy – zna tu wszystkich ludzi, ciekawe, co teraz robią. Chwilami jest w domu rodzinnym – ostatnie dni z matką i ojcem – chwilami z Irenką, pożegnanie, jeszcze pięć razy do siebie wracali, nie wiedząc, że po raz ostatni są razem, ostatni pocałunek i ostatni list, dziękuję ci za nie. A chwilami jest gdzieś na końcu tej niezrozumiałej drogi, daleko, w obcym świecie, dokładniej nie umie go sobie wyobrazić.

Moja dobra, nieskończenie dobra mama. Ciekawe, co robi? Pewnie siedzi jak wtedy, kiedy przyszli po niego. Zapłakana przy stole,

z modlitewnikiem na kolanach, przed nią kubek białej kawy i górka niedojedzonej macy. Mieszkanie było wyrócone do góry nogami. Ojciec stał obok powiązanego bagażu, walczył ze sobą, po męsku powstrzymywał łzy. Ale mama, ta dobra i niezwykle delikatna mama, nie miała tyle siły. Ciekawe, co robi teraz? Pewnie siedzi rozżalona i zmartwiona, czeka, czy nie przyjdą znów walić w kuchenne drzwi i krzyczeć. Martwi się i cierpi, ale czeka bez strachu, ponieważ nie ma już nic do stracenia. Oboje są starzy, może zostawią ich w spokoju. Tak, na pewno zostawią ich w spokoju, na stare lata nie będą ich przecież ciągnąć gdzieś na obczyznę. Mama ma reumatyzm, nogi spuchnięte, obandażowane. Niedomaga, ale cierpliwie znosi ciężki los. Teraz niewątpliwie siedzi na krześle, trzyma przykryte nogi na stołku i myśli o trzech synach. Wszystkich jej zabrano.

– Ludzie kochani, nie zabierajcie nam ostatniego! Nikogo już nie mamy!

– Niech pani nie lamentuje! Przecież nie odchodzi na zawsze, wróci.

Tak, wróci, jeszcze ich zobaczy, jeszcze sobie z nimi pożyje. Z płaszczu wyciąga kopertę z kilkoma rodzinnymi fotografiami. Mama własnoręcznie mu je powyбираła i ładnie złożyła. Tę, na której jest tylko ona, Karol trzyma w ręce trochę dłużej. Dwa lata temu, na sześćdziesiąte urodziny, poszła zrobić sobie zdjęcie. Twarz miała opanowaną, spokojną, leciutko się uśmiechała. Wychowałam was najlepiej, jak potrafiłam. Karol z czułością patrzy na fotografię, palce odrobinę mu drżą. Nagle czuje w plecach dziwaczne mrowienie. Ta fotografia... to ma być pamiątka? Ostatnia pamiątka? Nie, jeszcze ją zobaczy, te dobre, mądre, troskliwe i wszystko rozumiejące oczy ujrzy jeszcze żywe. Jeszcze musi się jej odwdziżyć za nieprzespane noce, za nadludzką troskę,

opiekę i za wszystkie niekończące się wyrzeczenia; zwłaszcza on, najmłodszy, bo jemu poświęciła najwięcej z tego, czego tak mało mieli w ostatnim czasie.

Wkłada fotografię z powrotem do koperty. To cały jego majątek. Nie ma nic innego, ale ma wszystko, ponieważ w tej kopercie jest jego życzliwa, troskliwa mama.

Słońce zachodzi, do wagonu przedostaje się półmrok. Monotonne uderzenia kół z początku uporczywie przypominały o ponurej rzeczywistości, teraz stały się dziwnie uspokajające. Z jednostajnego stukania można poskładać sylaby, a z nich słowa: nie bój się... będzie dobrze... wró-ci-my... ma-ma...

Mama – pewnie umiera ze zmartwienia od chwili, kiedy go jej zabrali. To było trzy dni temu. Płacze, że nikogo już nie ma. Że nie mogła dać mu pieniędzy ani ciepłego ubrania, gdyby przypadkiem musiał tam przetrwać też zimę. Gdyby jej zostawili chociaż tego najmłodszego! Płacze z tęsknoty za nim i za jego braćmi, jeszcze nie napisali. Po co ich wychowałam. Komu? Dla kogo?

Wprost dusiła się od konwulsyjnego płaczu, kiedy wyrwał im się z rąk i podbiegł do niej, żeby ostatni raz mocno ją objąć i pocałować...

– Mój syn! Mój ostatni synek! – krzyczała w potwornym żalu, a on czuł, jakby ktoś po kawałku wydzierał mu serce z ciała.

– Nie bój się, matko, ja wrócę. Nie płacz i nie martw się, na pewno przyjadę. Wrócę i zostanę z tobą na zawsze.

– Nie zabierajcie mi go! Nikogo już nie mamy...

Jest wojna i jest wiosna, i na całym świecie są też dobrzy ludzie. Pociąg dudni, mija okolice, których nie widać z wagonów, a oni jadą do pracy.

Po policzkach płyną mu łzy. Trzy dni w obozie się trzymał, chciał być silny, bronił się przed uczuciami, wypierał obawy i niepewność. Trzymał się też dziś na stacji. Ale teraz coś w nim pękło, złamało się, łzy spadają mu na wierzch dłoni i na kopertę, bo znów wyciągnął ją z kieszeni. Obok słyszy głos Laca, cichy i troskliwy. Odwraca zapłakaną twarz.

– Może byś coś zjadł? – pyta Laco.

– Dziękuję, nie teraz. Trochę się porozciągam.

Wstaje, wypręża ramiona do przodu i do tyłu, zgina się w pasie i opiera o ścianę. Zapala papierosa, odrobinę się uspokaja. Patrzy na ludzi, na tobołki porozkładane na kolanach i śmierdzącej podłodze. Jedzą powoli i tylko po trochu, żeby jedzenia wystarczyło im na jak najdłużej. Nauczyciel Wagner częstuje Laca herbatą, Laco podaje ją Karolowi.

– Dziękuję – mówi Karol i pije.

Powietrze w wagonie jest ciężkie, duszne, dym szczypie w oczy. Od drzwi, gdzie chodzą oddawać moc, śmierdzi. Teraz nawet pobliskie twarze gubią się w ciemności. Ciszę przerywa kaszel, ciemność przepędzają płomyki zapalek. Ktoś zapalił świeczkę, tam z przodu, obok wielkiego tobołka. Postawili ją na wojskowej walizce. Już ponad pięć godzin są w tej milczącej podróży – nie wiadomo dokąd.

Wró-cisz... je-dzie-my do pra-cy... monotonna szumią i wystukują koła. To wytrwałe łomotanie jest usypiające, ale zarazem nie pozwala się zdrzemnąć. Wreszcie jego rytm spowalnia, w wagonie zaczyna się poruszenie, wielu ludzi wstaje, ktoś mówi:

– Chyba nie mamy zielonego światła.

Pociąg się zatrzymuje i wszyscy tłoczą się przy drzwiach.

– Gdzie jesteśmy? – pyta kilku naraz, nie wiadomo kogo.

– Trzeba było zabrać ze sobą jasnovidza – sarka spod drzwi zwalisty taksówkarz Róbert.

– To chyba stacja. Widzę jakieś światła, a przed nami stoją pociągi – informuje ktoś przy okienku.

Wzdłuż wagonu biegną dwaj kolejarze z lampami. Z przodu ktoś stuka młotkiem w koła. Z tyłu, za wagonem XVI, słychać z kolei dudnienie żelaza.

– Spytaj, gdzie jesteśmy – prosi Laco.

– Rozkaz, szanowny panie – odpowiada Róbert. – Właśnie zbliża się tu jeden, co wygląda na rozmownego. Kolejarz.

Wszyscy się uciszyli, żeby usłyszeć odpowiedź.

– Przyłączamy dziesięć wagonów – dobiega ich starczy głos.

– Pewnie nie z prowiantem? – pyta Róbert naiwnie.

– Nie, synu, to nie jest prowiant. – Starczy głos wciska się przez szczelinę w drzwiach.

– A gdzie jesteśmy?

– W Żylinie.

Kolejarz się oddala, stukanie młotka o koła się zbliża.

– Idą tu jacyś gwardziści – oznajmia Róbert.

Po chwili słyszą na zewnątrz ostry, władczy głos:

– Guzdrze się pan, jakby miał obie ręce lewe. Za dwadzieścia minut chcę mieć ten pociąg z głowy!

– Niech nas pan nie popędza! – odpowiada śmiało kolejarz. – Człowiek jest porywczy, młotek może mu się wyslizgnąć z ręki. – I mężczyzna o energicznym, śmiałym głosie gniewnie wali młotkiem w koło wagonu XVI. I jeszcze raz. Kiedy przechodzi wzdłuż pociągu, słyszą, jak klnie ze złością. – Bałwan z frędzlem! Na rękawie krzyż, a w głowie nasrane!

Po chwili dziesięć wagonów dołączyło do stojącego składu, zde-
rzaki brzęknęły, ciągną załomotały. A potem znów gwizdek kole-
jowy i długa, przenikliwa odpowiedź lokomotywy. Pociąg rusza.
Uderzenia kół przyspieszają i wkrótce ponownie monotonicznie syla-
bizują: bę-dzie do-brze... nie bę-dzie źle... nie bój się... wró-ci-my...
mo-ja do-bra ma-ma... ma-ma...

...Mama siedzi przy stole, spuchnięte reumatyczne nogi ob-
wiązane flanelą trzyma na stołeczku. Na podółku otwarty modli-
tewnik. Na stole kubek białej kawy i kawałki macy. Ojciec siedzi
naprzeciwko. W kącie koło pieca zawiązany plecak. Mama siedzi
i szlocha, płacze bezustannie. Siedzi i płacze w pokoju ciemnym
jak ten szesnasty wagon, wywróconym do góry nogami, ale pach-
nącym czystością. W wagonie czuć gnojem, ługiem sodowym
i moczem. W wagonie, w którym Karol jedzie do braci.

Pociąg gna przez zakręty, wjeżdża na jakieś pagórki, zwalnia,
znów przyspiesza i w końcu jedzie z jednostajną prędkością. Do
wagonu przenika chłód, ludzie opatulają się kocami, osłaniają
krzyże i kolana. Przez długą szparę pod drzwiami widać zaśnieżo-
ne połączenia i ciemne pasma lasów. Pociąg wspina się wąską doliną
między górami.

– Która godzina?

– Najlepiej na to pytanie odpowiedziałby ten, co zabrał ci ze-
garek.

– Jakby miał kieszonkowy, toby mu nie zabrali.

– Po co panu znać godzinę? Po co, ja się pytam. Na randkę nikt
się tu nie spóźni. A nawet jeśli, to panienka wybaczy.

– Jeśli nie przestaniecie, zacznę dawać po mordzie! – krzyknął
Róbert. – Jak się wam czas dłuży, wyciągnijcie modlitewniki albo

zagrajcie sobie w mariasza. Człowiek nie może nawet przez chwilę spokojnie pomyśleć.

– Pociągnij za hamulec awaryjny i wysiądź – radzi Róbertowi cienki głos. – Powiedz im, że chcesz wstąpić do gwardii, u nas brakowało jednego trębacza. Albo powiedz, że jesteś nerwowo... że zapomnieli cię wykreślić w kasie chorych.

Niektórzy nie mogą powstrzymać śmiechu.

– Ludzie kochani, po co takie gadanie! Nie trzeba bluźnić ani się wyśmiewać. Przez takich Bóg nas wszystkich pokarał. Nie bluźnijcie i nie przeklinajcie, Bóg o nas nie zapomni – zabrzmiał poważny głos z kąta, gdzie dopala się już druga świeczka.

Znów nastała cisza i przez dobrą godzinę nikt jej nie przerywał. Karol opiera się plecami o ścianę wagonu, bokiem do Laca, drzemie, tak jest im cieplej. Budzi go szum głosów i spowalniający stukot kół. Pociąg się zatrzymuje.

– No, mądrale, Bóg zapomniał odstawić nas do domu – oznajmia złośliwie Róbert. – Myślę, że jesteśmy na granicy.

Przy wagonach rozbrzmiewają zdecydowane kroki, stukot podkówek na podkładach i żwirze. Wokół panuje ciemność. Z zewnątrz dobiegają głosy, kilku mężczyzn biega w tę i we w tę wzdłuż pociągu, z przodu ktoś gwizdże. Karol wyraźnie słyszy przed wagonem kroki stawiane przez nogi obute w ciężkie oficerki. Zamek szczęknął i załomotał, zatrzeszczały drzwi otwierane równocześnie we wszystkich wagonach.

– *Alles raus, los!*

Przy każdym wagonie stoją mężczyźni w mundurach.

Oparta na faktach powieść uciekiniera z Auschwitz.
Bohatera, którego odwaga uratowała życie
dziesiątków tysięcy ludzi.

Wiosną 1944 roku, po niemal dwóch latach nieustającego strachu, głodu, bestialskich mordów i nieludzkiego traktowania, dwóch słowackich Żydów uciekło z Auschwitz. Zabrali ze sobą dokumenty – plany obozu, krematoriów i komór gazowych, spisy tysięcy ludzi skazanych na śmierć tylko dlatego, że urodzili się w niewłaściwym kraju lub niewłaściwej rodzinie.

Obaj wiedzieli, że bez twardych dowodów nikt nie uwierzy w to piekło na ziemi. Najbardziej przekonująca okazała się etykieta zerwana z kanistra z cyklonem B, początkowo służącym do odkażania baraków i odzieży, później używanym do szybkiej i efektywnej eksterminacji więźniów.

Dzięki nim świat po raz pierwszy zyskał niepodważalne dowody na koszmara panujący za pilnie strzeżonym ogrodzeniem z drutu kolczastego. *Ucieczka z Auschwitz* to sfabularyzowane – ale nadal w pełni prawdziwe – wspomnienia Alfréda Wetzlera z lat katorgi. Fragment historii ludzkości, o którym wszyscy chcieliby zapomnieć, ale każdy ma obowiązek pamiętać.

Wstrząsające świadectwo zła oraz dowód ludzkiej siły,
wiary i niezłomności.

Film na podstawie tamtych wydarzeń jest
słowackim kandydatem do Oscara.

W czasach, kiedy „szczepionka II wojny światowej” powoli przestaje działać, a miejsca związane z Zagładą stają się tłem do radosnych selfie, ta książka – opowiadająca o autentycznym bohaterstwie Żydów podczas pobytu w obozie

Auschwitz i brawurowej ucieczce, oparta na własnych przeżyciach – jest arcyważnym świadectwem czasów minionych, oby nigdy niezapomnianych.

Karolina Korwin-Piotrowska, dziennikarka

**KUP
TERAZ!**

cena 39,90 zł
PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

WielkaHISTORIA.pl

w sprzedaży także

